Nieprawdy i półprawdy na temat polszczyzny

Często słyszymy, że język polski to najtrudniejszy język na świecie. Skąd w ogóle ten pomysł? Rzeczywiście, nie przeczę, mamy trudną wymowę, na przykład spółgłoski szczelinowe i zwarto-szczelinowe, na których można sobie połamać język. Wystarczy spróbować wymówić słowa takie jak: „chrząszcz”, „dżdżu” albo „źdźbło”. Nie wspomnę o słynnym cytacie: „W Szczebrzeszynie chrząszcz brzmi w trzcinie”. To przecież nasza chluba narodowa! Polszczyzna charakteryzuje się również skomplikowaną koniugacją i deklinacją z horrendalną liczbą końcówek, a także ortografią, która polega na przyswojeniu zapisu słów typu: „gżegżółka”, „harmider”, „skuwka”, „pięćdziesięciopięcioipółletni” czy „eksmąż”. Uważam, że ci, którzy znają polską ortografię, mają supermoce!

Nauka języka polskiego to wielkie wyzwanie i przypuszczam, że obcokrajowiec powinien poświęcić co najmniej rok na intensywną pracę, żeby swobodnie się nim posługiwać. Dla Chińczyka opanowanie polskiej gramatyki będzie jednak zdecydowanie trudniejsze niż dla Słowaka, Czecha lub Ukraińca. Język polski należy bowiem do grupy języków słowiańskich, podobnie jak słowacki, czeski oraz ukraiński. Język mandaryński zaś, który pełni rolę urzędowego w Chińskiej Republice Ludowej, to język tonalny, czyli nader ważną rolę odgrywa w nim intonacja. Dla Polaków jego przyswojenie może okazać się istnym horrorem. Z kolei Chińczyków opanowanie polszczyzny może przyprawić o zawrót głowy i nie raz w trakcie nauki zaleją się rzewnymi łzami. Podsumowując, niektórzy ludzie mogą postrzegać język polski jako najtrudniejszy na świecie, ale na pewno nie wszyscy.

 Kolejny mit na temat polszczyzny głosi, że staje się ona coraz bardziej niechlujna i prymitywna. Och, ileż razy ktoś w Internecie/internecie w związku z tym się żacha, pomstuje i niekiedy zwyczajnie zrzędzi. Orzeka, iż zagrożenia czyhają wszędzie i czeka nas niechybna apokalipsa. Tymczasem nasz język po prostu się zmienia, ewoluuje, próbuje nadążyć za zmieniającą się rzeczywistością, Internetem/internetem, młodzieżowym slangiem. I bardzo dobrze, bo przecież język to nie bóstwo, lecz narzędzie, które ma nam służyć. Inaczej stanie się martwy jak łacina. Jednakowoż przyznać trzeba, że zdarza nam się bez pomyślunku zaśmiecać polszczyznę wulgaryzmami, które niekiedy przypominają chwasty, nikomu niepotrzebne wrzutki. Wulgaryzmy i przekleństwa bywają przydatne. Nie należy z nimi bezwzględnie walczyć, tym bardziej że pomagają nam regulować emocje, ale nie zawsze i nie wszędzie wypada po nie sięgać, zwłaszcza gdy publikujemy teksty w przestrzeni publicznej.

 Martwi nas też napływ anglicyzmów. Można by stwierdzić, że panuje moda na angielszczyznę. Chłoną ją przede wszystkim ludzie młodzi, którzy godzinami przeglądają media społecznościowe na smartfonach, co powoduje, że konsumują mnóstwo treści właśnie w języku angielskim. Staje się on ich drugim naturalnym językiem. Czy się tego bać albo złorzeczyć na ten trend? Zdecydowanie lepiej z dystansem się temu przyglądać, mając na uwadze, że polszczyzna ochoczo zapożycza od wieków. Nie warto więc niczym Rejtan bronić „makijażu” przed „make-upem”, bo oba słowa są zapożyczeniami, tyle że z innych języków.

Samo zapożyczanie nie jest niczym niepokojącym. Warto jednak robić to z głową, nie ulec modzie. Nie sięgajmy po obco brzmiące słowa tylko po to, by być cool. Po co mówić „destynacja”, kiedy mamy „kierunek”? Po co „umawiać się na meeting/mityng”, kiedy można „umówić się na spotkanie”? Dobre wieści są takie, że moda jak to moda – w okamgnieniu przemija.